Rok 1936. 18 października Nr. 42.

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"

Szlakami misjonarza

Nie ma dziś już prawie na kuli ziemskiej zakątka, gdzie-by nie dotarła stopa misjonarza. Zna ich Afryka, t. zw. powszechnie „Czarnym Lądem", zna ich Azja we wszystkich swoich przeolbrzymich przestrzeniach, od niżu Gangesu po góry Tybetu, znają ich okolice świata gorące i znają ich kraje podbiegunowe, gdzie wieczysta zima trzyma wszystko w powłoce lodowej. Nic nie odstraszy, oddanych na śmierć i życie swemu Bogu tych Jego sług i wyznawców najwierniejszych, co tylko Jego pragną chwały. To też rozszerza się Imię Pańskie po świecie coraz bardziej — we wszystkich językach, wśród wszystkich plemion ludzkich. Chociaż na każdym kroku grozi misjonarzowi śmierć, powiększa się jednak corocznie armja apostolska, nowi zajmują miejsca tych, co padli wyczerpani trudem niekiedy nadludzkim.

Może najuciążliwszą, najtrudniejszą jest praca misjonarza w krajach polarnych. Sam klimat, sama przyroda, życie w nieustających uściskach bezlitosnego mrozu, muszą łamać najtwardszych, zanim się organizm potrafi przystosować do tak strasznych warunków.

Oto maleńki wycinek z życia misjonarza na dalekiej północy, na krańcach globu ziemskiego, wśród gór lodowych i stepów śniegiem wieczystym zasłanych:

Wracając do domu zakonnego poprzez polacie śnieżne, doznał o. Egenolf ze Zgrom. Oblatów Niepokalanej przygody, która omal nie kosztowała go życia. Psy, zwęszywszy gdzieś nagle renifery (reny), zerwały się z miejsca i w przeciwnym kierunku pogoniły za zwierzyną. Towarzyszący zaś misjonarzowi mały Eskimos już przedtem wyprzedził go saniami, na których wiózł zapasy żywności. Apostoł został sam wśród śnieżnej pustki, na której krańcach zniknęły psy. Widział jeszcze, jak zmordowane pościgiem, upadły i odpoczywały, nie myśląc o powrocie do pana. Poszedł w ich kierunku, i tak mijały mu ciężkie godziny.

„Opatrzność — powiada — wróciła mi je nakoniec wszystkie, co do jednego, choć myślałem pozostawić je własnemu losowi, gdyby im się zachciało nowego pościgu za renami. Zgłodniałe, zjadły mi tylko kilka postronków. Wkrótce wyruszyłem dalej drogą, brodząc w głębokim śniegu, aby wrócić na dobrą drogę, wiodącą do celu. Rozpaliłem ogień, żeby też towarzyszowi memu dać znać, gdzie jestem — i znowu upłynęły mi tak trzy godziny nadaremno. Wreszcie z psami udałem się na dalszą tułaczkę, gdy niespodziewanie zobaczyłem na śniegu świeże ślady sań. Uradowany kroczę śmiało, z świeżą otuchą naprzód".

Po pewnym czasie zauważył niestety, że ślady wskazują kierunek przeciwny, więc znowu spotkał go zawód bolesny. Wreszcie noc zapadła. Psy zmęczone nie chcą iść dalej. Trzeba było zdecydować się na przepędzenie nocy pod gołem niebem, bez jedzenia, bez odpowiedniego okrycia, bez kęsa ryby dla zgłodniałych psów. „Zamiast kolacji — opowiadał potem misjonarz — grzałem przy ognisku do późnej nocy skostniałe od zimna członki. Następnie zmówiłem różaniec i wieczorne modlitwy, aż mimowoli sen powalił mnie na twarde łoże, usłane z gałązek".

Mimo jednak wyczerpania po całodziennych trudach, sen rychło odbiegł od oczu, gdyż nie pozwoliło na spanie lodowate zimno pod wygwieżdżonym niebem biegunowym. Gdy nastał wczesny ranek niedzielny, misjonarz na nowo rozpalił ognisko, odmówił pacierze i o głodzie wyruszył w dalszą tułaczkę.

Tym razem szczęśliwie pozwoliła mu Opatrzność obrać dobry kierunek. Około południa zobaczył w oddali zbliżające się sanie. Był to ojciec młodego towarzysza misjonarza, który, ujrzawszy syna wracającego samego do domu, wyruszył natychmiast na poszukiwanie dobrego kapłana. Jeszcze dwie godziny jazdy — i nareszcie znalazł misjonarz upragniony spoczynek i pożywienie, a z nim i jego wierne psy.

„Był to drugi wypadek w mojem życiu misjonarskiem — opowiada na koniec o. Egenolf — że zbłądziłem. Odczuć to, co się działo w mem sercu, może tylko ten, kto podobnego doznał zdarzenia. W obliczu śmierci z zimna i głodu, jedna tylko niepokoiła mnie myśl, a mianowicie, że misja św. Piotra nad jeziorem Karibu, zostałaby bez misjonarza . . .“

Czy w tych słowach ostatnich nie kryje się całe bohaterstwo i umiłowanie sprawy Bożej owych niestrudzonych apostołów Chrystusowych? Na wszelkie trudy gotowi, na śmierć najokrutniejszą nawet — idą we wszystkie strony świata, by jasnym promieniem Wiary oświecić biedne, ciemne dusze ludzkie, które dotychczas nie poznały jeszcze wiekuistej Prawdy.

I błogosławi Bóg prace misjonarzy, gdyż z każdym rokiem powiększa się trzoda Jedynego Pasterza - Chrystusa.

Różaniec czarnej Ntombi

A teraz z lodowato-śnieżnych krain najdalszej północy przeniesiemy się myślą na południe, gdzie pod palącymi promieniami afrykańskiego słońca pracują taksamo dla Chrystusa niestrudzeni Jego apostołowie-misjonarze.

Jak wszędzie, tak i tu najczulszą troskę misji stanowią dzieci. Z nich to przecież najłatwiej jeszcze wypłoszyć ponure mroki pogaństwa, a napełnić im serca radością i światłem prawdziwej Wiary. Dusze to bowiem jeszcze podatne, nie przeżarte nawskróś trucizną straszliwych przesądów, wierzeń i zwyczajów. To też, ujęte miłością i dobrodziejstwem wszelakim, jakie im daje dom misyjny, stają się pośrednikami między nim a swoim domem rodzinnym, gdzie rodzicom trudniej już przychodzi wyrzec się odwiecznej wiary swych przodków.

A chwalą sobie wszyscy ojcowie misjonarze i siostry misjonarki te gromady czarnogłowych murzyniąt, które z uciechą wielką i wdzięcznością garną się zawsze do nich jako do najdroższych swych nauczycieli i przewodników. Z nich też tworzą się szeregi najgorliwszych wyznawców Chrystusa, z nich wyrastają późniejsi kapłani, którym już łatwiej będzie prowadzić dalej wśród swoich ziomków dzieło zaczęte przez białych.

Oto co opowiada jedna z misjonarek, której opiece powierzono gromadkę małych dziewczynek murzyńskich: „Przede wszystkim trzeba było poganiątka nauczyć znaku krzyża św. i wbić w pamięć słowa „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś Mario“. Biedne czarne główki z wielkim trudem przyswajały sobie modlitwy i trzeba im było powtarzać je w nieskończoność. Jak zwykle przesuwałam przy tym paciorki różańca, chcąc zjednać w pracy jego łaski. Gdy pewnego razu na lekcję weszła 9-letnia Ntombi, bardzo zdolna i bystra dziewczynka, spostrzegłam, że ma czymś owinięte palce u jednej ręki. Złożyła pobożnie dłonie, a oczy utkwiła we mnie, jakby chciała o coś zapytać, czy też usłyszeć pochwałę za to, co uczyniła“.

Okazało się, dziewczątko murzyńskie chcąc się upodobnić do białej Siostry, zrobiło sobie niby różaniec, umocowawszy na nitce jakieś błyszczące gwoździki. Oczywiście, została pouczona przez misjonarkę

o tajemnicach różańca, o tej przedziwnej modlitwie, która rozważając najważniejsze chwile z życia Najświętszej Marii Panny, wielbi Ją niezapomnianymi słowami anielskiego pozdrowienia.

Kiedy później, obmyta wodą chrztu św. mała murzynka stała się członkiem społeczności chrześcijańskiej, o ileż z większem zrozumieniem odmawia z pewnością różaniec, skoro — jak mówi Siostra zakonna — chciała sobie przezeń uprosić łaskę cnotliwości, męstwa w cierpieniu i postępu w życiu duchowym.

Może nie raz jeden w miesiącu październiku, gdy kościoły Pańskie w krajach chrześcijańskich rozbrzmiewają „Pozdrowieniem anielskiem“, z dalekiej Afryki płynie równocześnie w niebo głos czarnej Ntombi i łączy się z chórem pobożnym białych czcicieli Królowej świętego Różańca.

Mściciel z Zameczka.

POWIEŚĆ. Napisał Marjan Warta.

(Ciąg dalszy).

Żeby się do nich dostać, nie trzeba było wcale rujnować sztucznej podłogi, ponieważ znacznie głębiej, w jednej z czterech ścian studni znajdowały się drzwi, które do tej komory z prochami wiodły z odwiecznej pieczary, jaka się pod Zameczkiem ciągnęła, łącząc przez podziemia popod polami folwarki z dworem.

Gdybyż był Boliwanow wiedział cokolwiek o tym tajemnym krużganku!

O parę kroków od zasypanej studni leżał wielki głaz wśród krzaków.

Żołnierzom, szukającym Józefa w tym miejscu, nie przyszło na myśl odwalać ciężkiego kamienia. Któżby zresztą padł na taki pomysł?

Ruszenie go z miejsca przedstawiało i tak wielkie trudności. Ale trzeba było znać sposób, a już bez znacznego wysiłku dało się głaz odwalić. Zamykał on wnijście do lochu.

Był to ukośny korytarz, którym łatwo w głąb schodziło się ku drzwiom, znajdującym się w ścianie zasypanej studni.

Przy nich właśnie zastała pani Marta syna leżącego w kałuży krwi.

On tu zeszedł i przy drzwiach do komory z prochami stanął na czatach. Słyszał z podziemi, jak Moskale rozburzali kupę kamieni, która przykrywała studnię, lecz wiedział, jaki spotka ich zawód, gdy zajrzą do środka.

Zato czekał z bijącem sercem, czy przypadkiem ktoś z nich nie spróbuje ów wielki głaz odwalić... Wówczas musianoby go odnaleźć w lochu.

Józef nie wierzył, by to było możliwe, lecz był i na to przygotowany. Uprzedził matkę o swym strasznym postanowieniu.

Gdyby był usłyszał, że kamień odważają, przytknąłby ogień do pierwszej beczki z prochem za drzwiami.

Sam musiałby zginąć w gruzach. Możeby i matkę własną w nich zagrzebał. Ale wysadzając folwark w powietrze, nie tylko sam nie dałby się wziąć w niewolę, lecz jeszcze pomściłby ojca i brata.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Czary salin wielickich

(Ciąg dalszy)

Narażeni ciągle na nieszczęśliwe wypadki (chociaż o wiele mniej, niż w kopalniach węgla) i na utratę zdrowia, odznaczali się zawsze górnicy szczególną religijnością i pobożnością. Świadczą o tem rozliczne kaplice, ołtarze, krzyże, figury świętych i napisy ryte w ścianach solnych, świadczy o tem ich zbożny zwyczaj pozdrawiania słowami „Szczęść Boże“, ich starodawne pieśni religijne i szczególne

nabożeństwo do patronki kopalni św. Kingi oraz ogólnej opiekunki stanu górniczego św. Barbary.

Cała kopalnia poprzecinana jest licznymi korytarzami tak, że łatwo nieobeznanemu zagubić się w tym labiryncie. Długość ich wynosi 110 km. Znajdują się w niej różne komory, groty, kaplice, jest nawet podziemne jezioro słone, przez które przepływa się promem. Niezapomniane sprawia ono wrażenie, gdy się schodzi ku niemu z góry po schodach, a tysiące lampek elektrycznych odbija swoje



Górnik wielicki w stroju świątecznym.

światełka jednocześnie w wodzie i w ścianach solnych, oraz w sopelkach u pułapu powstałych z naciekania rozpuszczonej soli.

Obecnie zjeżdża się do kopalni, jak się już powiedziało, wygodną windą. Dawniej jednak, gdy nie znano podobnych urządzeń, górnicy spuszczali się w głąb na linach konopnych, do których przymocowane były małe ławeczki. Z płonącymi pochodniami smolnymi w rękach, przy migotliwym blasku łuczywa, odbywali swą codzienną zwaną przez nich „piekielną jazdę“ w ciemną czeluść kopalni i podobnie stamtąd wydobywali się na zewnątrz. Konie zaś, które raz zostały wprowadzone pod ziemię, pozostają tam w pracy już do końca swego życia, groziłaby im bowiem ślepota, gdyby je z powrotem wyprowadzono na światło dzienne.

Jeszcze chyba bardziej „piekielną jazdę“ odbyli w r. 1510 dwaj nieustraszeni żupnicy, Betman i Kościelecki, kiedy to pożar straszliwy ogarnął całe wnętrze kopalni, a oni — bez pewności możliwego powrotu, puścili się na swym konopnym sznurze z pomocą zagrożonym braciom.

Chwilę tego pohaterskiego poświęcenia się upamiętnił na podstawie przechowanych wiadomości, mistrz Matejko w swoim znanym obrazie, który oglądać można w Muzeum krakowskim w Sukiennicach. Zaś poeta z XVIII wieku, Franciszek Wężyk, pisze o tym tak w swoim wierszu:

Huk ognia, krzyk cierpiących, trzask niezwykły gromów,
Z głębi ziemi do miejskich przenosi się domów.
Słysząc to, zmilkły serca i ludzie zadrżeli.
Lecz kto w głębiach zawartym pomocy udzieli?
Kto wesprze otoczonych zaciekłą pożogą?
Kto w pałające żary śmiałą skoczy nogą?
Przecież jawią się tacy Nad gmin odrętwiały
Wyżsi chęcią, duszami i poczuciem chwały,
W głąb jaskiń rozognionych spadają bez trwogi
Kościelecki z Betmanem,
Któryż czyn wspaniałości waszemu wyrówna?
Szli sami w kraj podziemny, ogniem rozgorzały,
Przez gęste kłęby dymów i wrzące upały,
Szli, a w sercach pożarem niestrawionych ludzi
Konającą odwagę ich przytomność budzi.
Zagrzani wzorem mężnych biorą się do dzieła,
Wnet się wściekłość płomieni łagodzić poczęła,
Już leżą — z paszczy ognia wydobyte drzewa,
Już na żary stłumione woda się rozlewo.
Stygną z posad odwiecznych wysuszone ściany,
Gaśnie trudem nadludzkim płomień pokonany.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Zosi i Józi. Wzruszył was widocznie, kochane dziewczynki, los biednych dzieci niewidomych, które jedynie dotykiem palców mogą „oglądać“ rzeczy, na które wy patrzycie oczyma... Pytacie, dokąd posłać waszą skromną ofiarę.. Najlepiej przez P. K. O. Nr. 13.777 Choćby najmniejsza, przyjęta zostanie w Laskach z wdzięcznością.